

Tomasz Sobieraj

NIEZNOŚNA LEKKOŚĆ TRWONIENIA CUDZYCH PIENIĘDZY

Inwestowanie w biblioteki (a może raczej bibloteki, jak to często mówią biblotekarze i ich wielbiciele) w dzisiejszych czasach można by porównać z inwestowaniem przez kolej w parowozy lub przez linie lotnicze w balony. Romantyczne to, efektowne, ale drogie, powolne, nieekonomiczne. Papierowe książki prędzej czy później zostaną zastąpione elektronicznymi – to nieuchronne, jak nieuchronne było wyparcie winylowej płyty przez CD, a CD już zastępują pliki ściągane z internetu. Maszynę do pisania pokonał komputer. Przykłady można by mnożyć. Są też zawody, które prawie całkowicie wyginęły – bednarze, kowale, zecerzy. Podobny los zapewne czeka bibliotekarzy. Szkoda, że nie polityków i wojskowych.

Milton Friedman, laureat nagrody Nobla z ekonomii pisał, że najgorszym gospodarzem jest państwo, bo roztrwoni każde pieniądze, dlatego powinny one pozostać w rękach obywateli, a państwu należy się jedynie to, co niezbędne do utrzymania porządku i bezpieczeństwa. Życie dowiodło, że miał rację: im więcej państwowej ingerencji, czyli na przykład socjalizmu, tym gorzej dla zwykłych obywateli, a lepiej dla profitariatu, to znaczy grupy osiągającej korzyści z nicnierobienia, pozorowania pracy lub wykonywania zajęć nieużytecznych. Niestety, partyjni aparatczycy zarządzający Polską, niezależnie od głoszonych poglądów, są socjalistami, co można poznać między innymi po tym, że najlepiej ze wszystkiego potrafią łamać obietnice i podnosić podatki, a wyszarpięte z kieszeni ludzi pracy pieniądze przeznaczać na cele, które można zrealizować nie wydając złotówki, lub bez szkody nie realizować ich wcale.

Bogdan Zdrojewski, laureat nagrody Bączkowskiego, były prezydent Wrocławia, senator, poseł, oskarżony i skazany za niegospodarność na czternaście miesięcy w zawieszeniu (później uniewinniony), specjalista od budowy bloków na terenach zalewowych oraz niezgodnego z prawem i etyką zasiadania jednym zadkiem na dwóch publicznych stołkach, wybitny znawca problematyki obrony narodowej, obecnie minister kultury, człowiek jak widać wszechstronnie uzdolniony, by nie rzec geniusz, zapowiedział przeznaczenie w ciągu najbliższych trzech lat 150 mln zł na budowę i modernizację bibliotek gminnych, 15 mln na zaopatrzenie tych bibliotek, 6 mln rocznie na wspieranie wydawców, 8,5 mln rocznie na rzecz poprawy społecznego wizerunku książki i aż 35 mln na digitalizację zasobów bibliotecznych.

Nie są to prywatne pieniądze ministra Zdrojewskiego, tylko nasze, podatników, mieszkańców biednego kraju, w którym zamyka się szkoły i zabiera się ludziom oszczędności gromadzone na przyszłe emerytury, dlatego wymienione w rządowych planach kwoty skłaniają do refleksji i pytań. Skłaniają tym bardziej, że prywatnie minister jest chyba człowiekiem bardzo oszczędnym, zwykle bowiem chodzi nieogolony, co upodabnia go nieco do sympatycznych ministrów kultury Iranu i Afganistanu. Nagębne usierścienie naszego sługi (minister to po łacinie sługa) jest skromne w porównaniu z solidnymi brodami azjatyckich kolegów, ale jako że Polska to kraj rzeczy i przedsięwzięć nieudanych, poronionych i pozornych, więc w zasadzie ten nieurodzaj na twarzy nie dziwi.

Przejdźmy jednak do konkretów.

150 mln na budowę i modernizację bibliotek gminnych – w sytuacji, kiedy w każdej gminnej szkole jest komputer i biblioteka, a w niej ziewająca z nudów bibliotekarka, tudzież druga ziewająca niewiasta (lub dwie i więcej) w zwykłej, skomputeryzowanej publicznej gminnej bibliotece, zasadność wydania tej kwoty wydaje się wątpliwa i na kilometr śmierdzi marnotrawstwem. Ciekawe, ile bibliotek za tę kwotę zostanie wybudowanych, a ile zmodernizowanych, i co znaczy słowo „modernizacja” w tym przypadku. Bo moja biblioteka

rejonowa chyba została już „zmodernizowana” – pomalowano ściany i wstawiono komputer; teraz panie żądają 3 zł za godzinę korzystania z maszyny i żebrzą o datki na zakup książek. Prowadzą też gazetkę ścienną. Wszyscy aż się palą, żeby tam zaglądać.

15 mln na zaopatrzenie bibliotek – tylko w co? W trzeciorzędnej literaturze à la Masłowska o życiu półgłówków, w romanse, fantasy, kryminały, czasopisma dla gospodyń czy inne ogłupiacze? Czy to aby tylko nie sprytnie posunięcie wymyślone po to, by przyssani do państwowych dotacji prywatni wydawcy mogli zarobić jeszcze więcej na kontyngentach zadrukowanego papieru dla bibliotek? A co z wartościową literaturą, z klasyką, pismami popularnonaukowymi? Jaki odsetek w tych niejasnych zakupach stanowią będą dzieła literatury, a jaki makulatura? Którzy to pisarze znajdują się w bibliotekach, a którzy nie, i dlaczego.

6 mln na wsparcie wydawców – w tym zepsutym, zbudowanym z absurdów kraju niektórzy prywatni wydawcy dostają od państwa nasze, publiczne pieniądze na wydawanie i promocję książek pisarzy, których prawie nikt nie chce kupować i czytać bądź czyta wyłącznie dlatego, że zafundowano im medialną reklamę. Dlaczego w takim razie państwo nie wspiera producentów np. pacek na muchy czy jakichkolwiek innych wytwórców rzeczy zbędnych lub mało pożądanых albo w ogóle producentów czegokolwiek? Wszyscy powinni mieć równe szanse, w końcu podobno jest demokracja. Ciekawe też, którzy wydawcy dostają dotacje, a którzy nie, i, oczywiście, dlaczego.

8,5 mln na poprawę wizerunku książki – co to konkretnie znaczy? Wizerunek książki można poprawić porządnie edukując dzieci i młodzież a nawet dorosłych oraz promując prawdziwą literaturę. Dotychczasowa polityka państwa, polegająca na promocji nudy, bełkotu i nieudolności doprowadziła do tego, że w ciągu roku 62% obywateli nie miało w ręku książki, a pozostałe 38% to głównie uczniowie, studenci, nauczyciele i specjaliści różnych dziedzin, którzy muszą czytać podręczniki i literaturę fachową. Większość ludzi czytać nie będzie – jedni, bo to niemodne, niewidowiskowe i trudne zajęcie, inni, bo ich oszukano wmawiając, że literacka pasztetowa to szynka parmeńska. Do tego ten wprowadzany pięcioprocentowy VAT na i tak już zbyt drogie książki oraz podniesienie VAT-u na papier, usługi, energię, paliwo itd., co spowoduje wzrost cen książek o 10% – to, jak rozumiem, w ramach promocji czytelnictwa?

35 mln na digitalizację – czyli zwykle skanowanie i ewentualnie zamiana na pliki PDF. Tę banalnie prostą czynność mogą wykonywać pracownicy bibliotek w ramach swoich obowiązków, posługując się śmiesznie tanimi urządzeniami i łatwo dostępnym darmowym oprogramowaniem. Zamiast zbijać bąki czy przysypiać między regałami, wykonaliby pożyteczną pracę i nauczyli się czegoś. Trzeba im to tylko zorganizować. Warto też przy tej okazji wspomnieć, że zaledwie 9% bibliotek w Polsce ma witrynę internetową, co jest wynikiem mizernym nawet jak na Środkowo-Wschodnią Europę i świadczy o dużej inercji bibliotekarzy, wynikającej zapewne z nadmiernej feminizacji tego zawodu.

Szarmanckie plany ministerstwa zdumiewają również dlatego, że nie uwzględniają twardych faktów dotyczących nawet polskiego zaścianka, mianowicie skomputeryzowania gospodarstw domowych, powszechnego dostępu do internetu – nawet w telefonie, błyskawicznie rosnącej popularności książek elektronicznych i liczby ich tytułów oraz powstawania coraz liczniejszych cyfrowych bibliotek (tylko w ramach polskiej platformy dLibra na koniec 2010 roku było ich 59 z 509 tys. tytułów). Również księgarnie sprzedające e-booki i specjalizujące się w nich wydawnictwa rozwijają się w szybkim tempie, podobnie jak prywatne niekomercyjne biblioteki cyfrowe i strony www umożliwiające nieodpłatne pobranie e-książki. Ba, niektórzy pisarze, szczególnie ci nie żyjący z pisania, udostępniają swoje dzieła w postaci elektronicznej, niekiedy za darmo, wychodząc z założenia, że lepiej pozyskać czytelnika, sprawić ludziom przyjemność i nie mieć z tego pieniędzy, niż żebrać o państwowy datek czy użerać się z wydawcą, który kręci i kombinuje, by nie wypłacić i tak śmiesznie niskiej należności. Nie wolno też zapominać o ekologii – naprawdę, szkoda drzew; tak powoli rosną, i piękniejsze są od większości książek. *I last, but not least*: cała światowa i polska klasyka dostępne są w internecie bez opłat. Na naszych oczach dokonuje się na rynku książki rewolucja na miarę wynalezienia druku, czego urzędnicy, z jakichś tajemniczych powodów, nie zauważają.

Utrzymanie małych, ospałych bibliotek dużo kosztuje – to są pensje, ZUS, ogrzewanie, prąd, czynsz, naprawy i remonty. W sytuacji, kiedy książkę można kupić w antykwariacie za cenę bochenka chleba, a nowości (w postaci elektronicznej) wypożyczyć w internecie za kilka złotych, utrzymywanie na dłuższą metę tych potrzebnych kiedyś instytucji dzisiaj wydaje się rozrzutnością (fakt, jedną z wielu w tym kraju i nie największą). Rozumiem lament i wściekłość bibliotekarzy, gdy przeczytają te słowa. Rozumiem, jednak postępu nie da się zatrzymać, nie da się też utrzymać przy życiu tego zawodu, tak jak nie udało się to z innymi profesjami. Nie tak dawno przecież, bo pod koniec XX wieku, gdy pojawił się elektroniczny skład tekstu, zniknęli zecerzy. Nikt nie ronił łez nad losem kilkuset tysięcy szwaczek, gdy padał w Polsce przemysł włókienniczy, czy nie przejmował się problemami kupców, gdy powstawały hipermarkety. *Panta rhei*. Na początku rewolucji przemysłowej robotnicy niszczyli maszyny, które zabierały im pracę, w końcu jednak musieli się pogodzić z rozwojem techniki i szukać innych zajęć. Teraz, w drugiej dekadzie XXI wieku nadszedł czas, by pomyśleć nad przekwalifikowaniem bibliotekarzy i sensem utrzymywania bibliotekoznawstwa jako osobnego kierunku na wyższych uczelniach. Warto też zastanowić się nad ewentualnym przekształceniem dużych bibliotek miejskich i dzielnicowych w nowoczesne multimedialne centra biblioteczno-edukacyjno-informacyjne oraz przeniesieniem do nich części księgozbiorów z bibliotek małych, niemrawych i martwych, generujących jedynie koszty. Drugą część ich zasobów książkowych powinny przejąć biblioteki szkolne, które w małych miejscowościach mogłyby stać się podobnymi centrami, dostępnymi dla całej lokalnej społeczności. Oczywiście, z takich rozwiązań nie byłiby zadowoleni wielcy wydawcy, dla których blisko 9000 bibliotek i ich filii to setki tysięcy sprzedanych książek i milionowe dochody – ale o nich chyba nie trzeba się martwić, w końcu są rzutkami ludźmi biznesu, tworzą silne lobby, dostają państwowe dotacje, więc sobie poradzą.

Jak nietrudno się domyślić, pieniądze od ministra Zdrojewskiego rozejdą się na premie, nagrody, dodatki motywacyjne, plany, projekty analizy, programy, szkolenia, drogie skanery, drogie komputery, drogie oprogramowanie; trafią do kieszeni urzędników, i na konta prywatnych wydawców, którzy nie muszą się starać o czytelnika, bo państwo im zapłaci za wydrukowane książki. Spore ochłapy trafią do co bardziej zaradnych pisarzy, czyli dobrze ustawionych cwaniaków wiedzących jak wyciągnąć publiczną kasę, mozolnie piszących swoje nudne stachanowskie produkcyjniaki (i pomyśleć, że kiedyś taki Gombrowicz, Kafka, Schulz i inni wielcy twórcy wielkiej literatury nie utrzymywali się z pisania, chodzili do prawdziwej pracy i pisali wiekopomne dzieła, wydając je później na własny koszt).

Można by powiedzieć, że wymienione kwoty to niewiele w porównaniu do rocznego budżetu Ministerstwa Kultury, przekraczającego 2,2 miliarda złotych. Biorąc pod uwagę sumy, jakie polskie karykaturalne państwo przepuszcza na obrzydliwe wojny, zbrojenia, rozdętą administrację, konferencje, zbędne zakupy, orliki, mistrzostwa w kopaniu piłki oraz inne idiotyczne i/lub cyrkowe przedsięwzięcia, to jeszcze mniej. Jednak każdy, kto żyje w realnym świecie, chodzi ulicami, rozmawia z ludźmi, był w zwykłym szpitalu, załatwia sprawy w urzędzie, każdy, kto myśli samodzielnie, wydaje własne ciężko zarobione pieniądze na coraz droższe życie, ten wie, że najpierw trzeba sfinansować to, co najważniejsze, bez czego trudno godnie żyć a nawet trudno godnie umrzeć, bez czego jesteśmy bezzębnymi pariasami neofeudalnej Europy, obywatelami polskiego smutnego pierdołnika. Dopiero później można się bawić. Lecz nowa arystokracja – czyli ci, którzy poznają świat na bankietach, sympozjach, posiedzeniach, zza szyb służbowych samochodów i z usługowych reżimowych mediów – bawi się już teraz. Za tę zabawę płaci z zabranych nam pieniędzy. Nie martwi się o nic, bo liczne przywileje, wysokie dochody, emerytury, opiekę medyczną ma zapewnione, i pewnie dla jej rodzin i dziedziców też wystarczy. A gdy ci gardzący swoim ludem władcy jeszcze bardziej obniżą poziom i tak już nędznej edukacji, po cichu zamkną kolejne szkoły, gdy jeszcze głupsze programy i filmy pojawią się w publicznej misyjnej telewizji, gdy prawdziwe książki zostaną wyparte przez dzieła literackich

neandertalczyków oraz błahe dreszczowce, romanse i fantasy, gdy poziom otumanienia narodu osiągnie apogeum, wtedy pracujący do siedemdziesiątki bezwolny szczerbaty półanalfabeta na pewno nie podniesie głowy. Wtedy też całkiem runie tekturowa fasada demokracji i zacznie się zabawa na całego.

Tak, łatwo jest sięgać do kieszeni obywatela, szczególnie gdy ten trwa w letargu przytruty miazmatami polityków i wiernych im dziennikarzy. Łatwo jest też wydawać cudze pieniądze. Znacznie trudniej wydaje się te zarobione własną porządną pracą – wie o tym każdy, kto naprawdę pracuje.